Historia domu Pod Bocianami



Dom Pod Bocianami. Najpiękniejszy ganek drewniany w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski.

Teresa i Wrzesław Żurawscy

O uroku Łańcuta stanowi nie tylko magnacka rezydencja Lubomirskich i Potockich, ale także zabytkowe, malowniczo rozsiadłe w ogrodach wille i domy, które nadały miastu niepowtarzalny charakter. Najstarsze z zachowanych pochodzą z XIX w. Należy do nich parterowy, typowo miejski dom *Pod Bocianami*, tym bardziej cenny – bo drewniany, do naszych czasów zadbany i remontowany przez właścicieli z pełną świadomością jego wartości historycznej i zabytkowej. Ze względu na budulec, jakim jest drewno, zabytki tego typu są bardziej narażone na niekorzystny upływ czasu, pogody i… człowieka, który (strach pomyśleć) przez nieostrożność może zaprószyć ogień. Z powyższych względów liczna kiedyś w Łańcucie zabudowa drewniana prawie zniknęła.

Na szczęście dom *Pod Bocianami* stoi w pełnej krasie: okazały, bogaty, strojny w detal ciesielski. Wybudowany został z modrzewia w drugiej połowie XIX w. dla rodziny drogomistrza Kaczorowskiego. Nadano mu kształt wydłużonego prostokąta. Usytuowany w obszernym ogrodzie – dłuższą elewację, ozdobioną gankiem, zwraca ku ulicy Paderewskiego, naprzeciwko należącego do *obszaru dworskiego* folwarku *na Górnem* (po II wojnie światowej teren szpitala).

Jak wynika z informacji opracowanych przez Z. Juchę w 1980 r. (karta ewidencji zabytków WUOZ Rzeszów) – w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. dom rozbudowano. W 1934 r. dom *Pod*

Bocianami nabyły rodziny dwóch braci: Maria i Franciszek Rzucidłowie oraz Józefa i Józef Rzucidłowie od nauczycielki szkoły powszechnej Dzierżyńskiej. Już w następnym roku nowi właściciele przeprowadzili remont generalny budynku, a w latach 60. XX w. wprowadzono instalację wodociągową. Na skutek modernizacji i remontów rozkład domu zmienił się. W pierwotnie dwutraktowym, amfiladowym układzie wnętrza zbudowano przez środek ścianę rozdzielającą dom na dwie połowy dla użytku i wygody dwóch rodzin. Zewnętrzny jego wygląd pozostał niezmieniony – dwuspadowy blaszany dach przykrywa oszalowaną deskowaniem wydłużoną bryłę.



Dom Pod Bocianami przy ul. Paderewskiego w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski.

Prawdziwą ozdobą budynku jest okazały przeszklony ganek na środku elewacji frontowej. W jego trójkątnym szczycie, oszalowanym w drobną łuskę, umieszczono symetrycznie parę zwróconych ku sobie bocianów, wyciętych z drewna i malowanych. Od tej ozdoby do drewnianego modrzewiowego domu przylgnęła nazwa *Pod Bocianami*. W dużych, zamkniętych łukiem, przeszklonych oknach i drzwiach ganku wprowadzono drobne regularne podziały geometryczne, a pod oknami w szalunku – profilowo wycięte ornamentalne deskowanie. Niezwykle bogate jest obramienie okien budynku. W elewacji frontowej umieszczone po obu stronach ganku, po dwie bliźniacze pary otworów okiennych flankowane są kanelowanymi smukłymi półkolumienkami i zwieńczone trójkątnymi, wycinanymi z desek szczytami; w dolnej części wsparcie dla kolumienek dają snycerowane konsolki, połączone toczonym wałkiem – rodzajem parapetu z podwieszonym ażurowym, wycinanym ornamentalnie fartuszkiem pod każdym oknem.

W układzie wnętrz domu zachowała się stara stolarka drzwiowa, podłogi, stropy oraz… niepowtarzalny klimat, pielęgnowany przez kolejne pokolenia spadkobierców rodziny Rzucidłów po dzień dzisiejszy. Smakowaniu tej staropolskiej gościnnej atmosfery sprzyjały, zapamiętane jeszcze z lat 80. i początku 90. XX w. wizyty w domu *Pod Bocianami,* okraszone pięknymi opowieściami Bogusława Rzucidły (syna Józefa), gdy siedząc w

wygodnych fotelach i pijąc aromatyczną herbatę słuchaliśmy pogawędek o czasach przedwojennych, wojennych i powojennych. Jakże miłą dla nas okazała się retrospekcja tych opowieści przywołana w 2017 r. przez Państwa Jankowskich w tymże domu *Pod Bocianami*, świeżo i z sercem wypielęgnowanym do oryginalnej deski, belki stropowej czy mebla.



Bociany schowane pod dachem, fot. Wrzesław Żurawski.

***

Trzeba wiedzieć, że z domem *Pod Bocianami* wiąże się emocjonujący epizod z czasu II wojny światowej. Dnia 23 kwietnia 1944 r. z lotniska w Campo Cassale koło Brindisi wystartował brytyjski samolot Halifax JP 224 o imieniu „Rita". Miał dokonać zrzutu broni i zaopatrzenia dla Armii Krajowej w rejonie Opola Lubelskiego. W wyniku awarii silników (na skutek ostrzału przez samolot niemiecki) siedmioosobowa załoga wyskoczyła z maszyny przed jej rozbiciem w okolicach Tarnogóry koło Sarzyny. Lotnicy przeżyli. **Oscar Congdon** oraz **Edward Elkington Smith** dostali się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wrócili do Wielkiej Brytanii. **James Caradog Huges**, **Charles Keen**, **Thomas Storey** (pilot) i **Patric Stradling** dostali się pod opiekę oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich „Ojca Jana", następnie przekazani oddziałowi AK „Kmicica", a następnie oddziałowi partyzantów AL „Muchy" i sowieckich, którzy zorganizowali ich ewakuację lotniczą przez Kijów i Moskwę do Murmańska, skąd wrócili do Wielkiej Brytanii.

Siódmy z lotników, sierżant **Walter Davis**, radiotelegrafista, był ukrywany w rodzinie państwa Deców w gajówce w Smolarzynach, następnie w Rakszawie. Spotkał się z angielskim wojskowym przechowywanym przez AK **Jamesem Bloomem**,

uciekinierem z niemieckiego obozu jenieckiego. **James Bloom** wstąpił do AK i został zaprzysiężony pod pseudonimem „Antek". Korzystał z pomocy rodziny Sowów z Soniny, których córkę Katarzynę poślubił w warunkach konspiracyjnych. Obaj Anglicy wraz z francuzem **Henri Roustanem** (przypuszczalnie także uciekinierem z obozu) dostali się pod opiekę Zenona Szusta w Łańcucie. Przechowywani byli w domu *Pod Bocianami* przy ul. Paderewskiego 12 w rodzinie Józefa Rzucidło.

Józef Rzucidło ur. W 1891 r. był prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu we Lwowie. Pracował w Banku Ziemskim, a następnie w Sądzie Powiatowym w Łańcucie jako kandydat notarialny, asesor notarialny, p.o. sędziego, notariusz. Jego biuro mieściło się w willi Fangorów przy ul. Mickiewicza. Po wojnie został kierownikiem Państwowego Biura Notarialnego. Był ostatnim prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" w Łańcucie, zmuszony w 1946 r. do oddania Starostwu Powiatowemu kluczy do budynku Towarzystwa. W 1939 r., w czasie okupacji niemieckiej, aresztowany i katowany przez gestapo, następnie osadzony w obozie w Pustkowie, gdzie przebywał 18 miesięcy do 1943 r.

Aliantami zajmował się również syn Józefa, **Bogusław Rzucidło** ur. w 1920 r. żołnierz AK ps. „Bob", zaprzysiężony we wrześniu 1943 r. Kolportował on prasę podziemną, prowadził nasłuch radiowy, a dzięki znajomości języków niemieckiego, angielskiego

i francuskiego był łącznikiem między placówkami AK i zbiegłymi z niewoli żołnierzami alianckimi. Załatwiał on ślub kościelny **Jamesa Blooma** „Antka”i zorganizował mu wesele we własnym domu.

Walter Davis korzystał z pomocy państwa Rzucidłów do lutego 1945 roku. Alianci zamieszkiwali okresowo także w innych miejscach w Łańcucie i okolicy, między innymi w wieżyczce willi Cetnarskich przy ul. Konopnickiej 29. Ukrywanymi opiekowali się także Helena Pawłowska i jej brat sierżant żandarmerii WP Stanisław Pawłowski, żołnierz AK ps. „Rom”. Zenon Szust, poliglota, miłośnik poezji i muzyki umożliwił także potajemnie **Walterowi Davisowi** grę na organach w łańcuckiej farze. Po wojnie **Walter Davis** został ewakuowany przez Kijów, Odessę i drogą morską do Wielkiej Brytanii, gdzie został organistą w kościele parafialnym w Eversley.



Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej z udziałem młodzieży I LO. W jasnym garniturze gospodarz – pan Janusz Jankowski, fot. Aleksandra Ruszel.



Goście uroczystości: siedzi Maria Szpunar – siostra żony Jamesa Blooma „Antka”, stoją od lewej: Magdalena Lew-Strawa (wnuczka Marii Szpunar), Dorota Szpunar (córka Marii Szpunar) i Teresa Bagińska – Żurawska, fot. Aleksandra Ruszel.

Po wojnie Józef Rzucidło za swoje zasługi został uhonorowany przez brytyjskie władze wojskowe dyplomem wdzięczności.

W 1946 r. Biuro Attache Wojskowego Ambasady Brytyjskiej w Warszawie reprezentowane przez majora J. F. Fillinghama przekazało Józefowi Rzucidło kwotę 20.000 zł tytułem rekompensaty za przechowanie angielskich wojskowych w czasie okupacji niemieckiej. Obdarowany, jak sam napisał, przyjął

pieniądze „na usilne życzenie” *attache* i przeznaczył je w całości na cele społeczne.

Połowę tej sumy czyli 10.000 zł na pomoc dla 20 uczniów 1 L.O. w Łańcucie pochodzących z biednych rodzin. Zostali oni wytypowani przez Radę Pedagogiczną. Zachowała się imienna lista z potwierdzeniami odbioru.

5.000 zł Józef Rzucidło przeznaczył na odnowienie Kościoła Mariackiego w Krakowie składając je na ręce ks. prałata dr Ferdynanda Machaya – proboszcza.

Pozostałe 5.000 zł otrzymał zaś Główny Komitet Uczczenia Pamięci Wincentego Witosa w Warszawie z przeznaczeniem na budowę Uniwersytetu Ludowego im. W. Witosa w Wierzchosławicach.

Wszystkie dokumenty w tej sprawie pozostały w rodzinie Rzucidłów i są przechowywane do dziś.

W lipcu 2018 r. państwo Małgorzata i Janusz Jankowscy umieścili na domu *Pod Bocianami* tablicę informującą o alianckich gościach w czasie wojny. Przypomina ona o zaangażowaniu łańcucian w walkę podziemną, ich doskonałej organizacji i niezłomnej postawie moralnej.



This certificate is awarded to

JOZEF RZUCIDLO

as a token of gratitude for and appreciation of the help given to the Sailors, Soldiers and Airmen of the British Commonwealth of Nations, which enabled them to escape from, or evade capture by the enemy.

Air Chief Marshal,
Deputy Supreme Commander,
Allied Expeditionary Force

1939-1945

Dokument z podziękowaniem dla Józefa Rzucidło za pomoc alianckim żołnierzom od brytyjskich władz wojskowych.

W opracowaniu wykorzystano informacje z książki Stanisława Jankowskiego „Ostatni lot Halifaxa” oraz dokumenty z archiwum rodziny Rzucidłów.

Historia w karetach zaklęta

Rozmowa z Teresą Fabijańską-Żurawską, wieloletnim kustoszem Powozowni Zamkowej w Łańcucie.



Teresa Żurawska w Łańcucie.

Z panią Teresą Żurawską przyjaźnię się od wielu lat. Zaczęło się od rozmów ze starszymi osobami w mojej rodzinie, słuchania z zapartym tchem opowieści o dawnym obyczaju, balach, polowaniach, sportach, zjazdach rodzinnych i bytności różnych znanych, historycznych postaci w domu mojego dziadka. Tego świata już nie było koło mnie. Były bloki, podwórko, piaskownica, „babie górki”, było ślicznie i zielono, ale gdzie te sanie, powozy,

długie suknie i rytuał picia herbaty punktualnie o 16.00. Próbowałam odszukać ten zaginiony świat na starych pocztówkach. Uzbierała mi się niemała kolekcja. Poprzez pocztówki dotarłam do Łańcuta i autorki książki o obyczajach związanych z pojazdami konnymi z łańcuckiej kolekcji. Książka była pożyczona z biblioteki, ale żal było mi się z nią rozstać, więc ją całą przepisałam. Chodziłam wtedy do 4 klasy szkoły podstawowej. Po informacji o odkryciu przez Teresę Żurawską – kustosza Powozowni, słynnej ambony z Radacza, zbudowanej z części karet Sobieskiego, o czym było głośno w prasie, odważyłam się napisać list do Łańcuta. Zaczynał się od słów: „Mam 10 lat, chodzę do 4 klasy…". Jakież było moje zdziwienie, gdy bardzo szybko dostałam poważną odpowiedź. Zaczęła się długoletnia korespondencja i przyjaźń. W Łańcucie odnalazłam świat sztuki, kultury, dawnych obyczajów. I poznałam bliżej panią Teresę, wspaniałego człowieka, który ma tak wielki wkład w tworzenie naszej kultury i reprezentowanie Polski na zewnątrz kraju, tak wielki dorobek pisarski, a jednocześnie tyle ciepła, stylu, elegancji, urody zewnętrznej i urody ducha. Jest to prawdziwa pani na Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Ta wielka kolekcja powozów w Łańcucie, jedna z największych w Europie, jest w jakimś stopniu i pani dziełem. Jak do tego doszło, że pani, absolwentka KUL-u zajęła się historią pojazdów konnych i przyczyniła się pani do stworzenia nowej gałęzi historii sztuki?

Teresa Żurawska:

Oboje z mężem, Jerzym Żurawskim, przybyliśmy do Łańcuta w 1963 r. na usilne prośby ówczesnego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie, Antoniego Dudy-Dziewierza, wspaniałego człowieka, działacza i ideowca z przedwojennego PPS-u. Mąż został głównym kustoszem w randze wicedyrektora do spraw naukowych. Oboje mieliśmy już mały staż pracy w Olsztynie, zaraz po studiach zatrudnieni do misji kulturalnej, której nadano tajemniczą i brzmiącą konspiracyjnie nazwę „AKCJA 666". Chodziło o rejestrowanie opisem, fotografią oraz danymi administracyjnymi, obiektów architektury zabytkowej, tak świeckiej, jak i sakralnej na Warmii i Mazurach. Jako historycy sztuki jeździliśmy po wypalonych, zrujnowanych miasteczkach, zniszczonych nie na skutek działań wojennych, lecz z rozkazu Stalina, by nie oddać tego, co ocalało po wojnie i miało w nowym podziale terytorialnym Europy przypaść Polsce. Akcja trwała trzy lata i nagle została przerwana, choć nie zakończona. Straciliśmy pracę i to oboje. Na świecie był już nasz syn Wrzesław. Trzeba

było szukać zarobku.

Przypadek sprawił, że w podróży do moich rodziców, którzy mieszkali w Zamościu, spotkaliśmy konserwatora wojewódzkiego z Rzeszowa. W rozmowie padła konkretna propozycja etatu w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie na stanowisku z-cy konserwatora. Bez zastanowienia przyjęliśmy tę możliwość jako szansę. W Rzeszowie upłynęły nam kolejne lata: ciekawy teren dużego wojewódzkiego miasta, dość zaniedbanego, ale bogatego w piękne obiekty architektury renesansowej, barokowej, drewnianej. Zaczęłam pracę w Muzeum Okręgowym i nawet miałam publikacje naukowe i popularne, z zakresu malarstwa i wystaw artystycznych, zorganizowałam znaczącą wystawę i całkiem dobrze się czułam w kręgu ludzi kultury rzeszowskiego środowiska. Jednak nasz syn zaczął w przedszkolu chorować i to zadecydowało o podjęciu decyzji przeniesienia się do Łańcuta.



Teresa Żurawska przed zamkiem w Łańcucie.

Miejsce pracy zachwycające, ale ileż tam było do zrobienia! Trzeba było wszystko, prawie od początku zorganizować, aby stworzyć z Łańcuta placówkę naukową promieniującą na całe południe Polski i nie tylko. Wieść o Zamku i Powozowni słynącej z najwspanialszej kolekcji pojazdów konnych szybko się rozprzestrzeniła. Do Łańcuta przybywały tłumy ludzi. Urządzano sesje naukowe, seminaria, odczyty, zjazdy i koncerty. Życie kulturalne kwitło, a my mieliśmy coraz mniej pracy. Nowy statut muzeum przewidywał podział ogromnego terytorialnie i merytorycznie zespołu na odpowiedzialne, samodzielne działy. Wyodrębniono również Dział Pojazdów Konnych, obejmujący dwa budynki ekspozycyjne, a w nich pojazdy, uprzęże, akcesoria i

wszystko to, co wiąże się z kulturą i obyczajem i jest ściśle związane z koniem. Moją ambicją było stworzenie ośrodka wiedzy na temat historii pojazdu zaprzęgowego, by służyć ludziom kultury informacjami, ikonografią, zasobem biblioteki specjalistycznej. W Łańcucie były wzory, perły, z których można czerpać wiedzę i do filmu, i do literatury, uczyć się obyczaju i elegancji. Przymuszona przez dyrektora do objęcia funkcji kustosza w tym dziale, zaczęłam uczyć się sama. Pomogły mi w tym wyjazdy na stypendia do Francji, Włoch, liczne podróże prywatne i popierane przez Ministra Kultury i Sztuki, udział w międzynarodowych zjazdach i wreszcie długoletnia przynależność do Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeum Transportu /IATM/ przy wielkiej międzynarodowej organizacji muzeów /ICOM/. Brałam w nich czynny udział, wygłaszałam referaty, zawsze na tematy polskie, jako przedstawicielka naszego kraju.



Widok na kolekcję pojazdów konnych w łańcuckiej Powozowni.

Powozy, to też ludzie, ich życie i obyczaje. Jakie tajemnice kryje łańcucka Powozownia?

Łańcucka Powozownia jest właściwie nieporównywalna z żadnym innym zbiorem na świecie, gdyż jest jedyną całkowicie zachowaną powozownią zamkową, rezydencjonalną, stworzoną ponad 100 lat temu.

Najwyższej klasy artystycznej, bo tak trzeba określić to rzemiosło, karety, powozy, breki i każdy inny pojazd kryją wiele tajemnic. Tymi skrywanymi wewnątrz są np. ukryte nazwiska

twórców. W przypadku karety galowej Berliny jest to wiedeński siodlarz Karasch i karetnik Marker, a na stopniach stangreckich znajduje się dobrze zakamuflowana data „1830”. Odnajdywanie takich tajemnic jest wielką radością. Są też zagadki, których nie udało się rozwiązać do dzisiaj, gdyż odległość czasowa nie uruchamia naszej wyobraźni w sposób wystarczający. Furgon bagażowy z około połowy XIX w. zaskakuje małymi urządzeniami w podwoziu i nie wiemy do czego służyły. Czasem wewnątrz karety całkiem młodej, bo zaledwie stuletniej, znajdują się uchwyty trudne do zidentyfikowania. Są schowki, jakieś skomplikowane „skrzyneczki” nie wiadomo w jakim celu wmontowane itd. Na koczyku gdańskim inicjały umieszczone na drzwiczkach, ułożone w ornament pod koroną nie zostały odczytane. Na szczęście herb rodziny szlacheckiej Faustów, która na prawdę istniała i występuje w „Błękitnym Almanachu”, został przeze mnie odczytany i znaleziony w starym, niemieckim herbarzu z 1654 r. Co to za radość po wielu miesiącach usilnych poszukiwań!

Sensacją w świecie nauki było odkrycie i udowodnienie, że ambona w małym kościółku w Radaczu koło Słupska, wykonana została z części karet Jana III Sobieskiego. Zrekonstruowane karety pokazane zostały w 2003 roku na wystawie w Wilanowie z okazji 320 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Czy uważa Pani to znalezisko za największe swoje odkrycie, czy były też inne równie ważne?

Czasem zdarza się, że praca historyka sztuki, na ogół żmudna i monotonna, przeobrazi się wielką życiową przygodę. Tak było z rozszyfrowaniem ambony z Radacza, którą zrobiono w 1742 roku z trzech karet – dwóch króla Jana III Sobieskiego i jednej Marii Kazimiery, królowej, żony Jana.

W Wilanowie, na wystawie w 2003 roku pokazano, jaki miały kształt, wielkość, jak były zrobione i co znaczyły metafory, alegorie i symbole barokowe w ich dekoracji malarskiej i rzeźbiarskiej. To dzieła sztuki jeżdżące na złotych kołach. Rozszyfrowanie tego metajęzyka zajęło mi sporo czasu, ale też dało mi możliwość, zagłębienia się w historię, ceremoniał dworski, obyczaje epoki. Uważam, że było to moją życiową misją, aby Polsce oddać trzy królewskie, paradne karety najbardziej kochanego króla.



Wizyta Mieczysławy Cwiklińskiej w Łańcucie w 1968 roku. Od lewej: M. Ćwiklińska, A. Grzybowski, T. Żurawska, red. Radomiński.

Kto ze znanych, sławnych i ciekawych ludzi, którzy odwiedzili Powozownię, najbardziej utkwił Pani w pamięci?

W Łańcucie jestem ponad 50 lat, z tego 30 pracowałam na rzecz Zamku i Powozowni. Przede wszystkim opracowałam zbiory, powiększałam je, zbierałam książki z zakresu historii pojazdów konnych, sama pisałam książki i artykuły, ale w moich czasach Zamek był tak popularny, że zjeżdżało doń mnóstwo ludzi wielkich i sławnych. Koronowane głowy, ambasadorowie, ludzie pióra, teatru, filmu i telewizji. Pamiętam wizytę Wielkiej Księżnej Luksemburga, której towarzyszyłam podczas zwiedzania zamku.

Przyjechał z nią cały dwór i co mnie zdziwiło, najbardziej słychać było język polski, bo damy dworu to księżne i księżniczki Polki – Sapieżyny i Sapieżanki. Oprowadzałam też belgijskiego następcę tronu – księcia Filipa w towarzystwie ambasadora Belgii w Polsce, wysokiego arystokraty. Miałam zaszczyt oprowadzać naszego prymasa, ks. kardynała Józefa Glempa. Było bardzo zabawnie, bo Jego Eminencję wpakowaliśmy do karety generała Piotra Szembeka z XIX w. Z aktorów najmilej wspominam Aleksandrę Śląską, a z reżyserów Janusza Majewskiego. Nigdy nie zapomnę rozmowy z Marią Kuncewiczową, czy z Jerzym Waldorfem. Z zagranicznych gości świata artystycznego wspomnę piękną Juliette Greco. Nie sposób wymienić tu choćby połowy. Na prawdę było wiele osób wspaniałych.

Łańcut przechodził różne okresy. Była Pani świadkiem przyjazdów Cyrankiewicza, Hermaszewskiego, potem przyjeżdżali państwo Potoccy z Peru, prawowici spadkobiercy zamku. Jak wspomina pani tamte czasy?

Państwo Potoccy ożywili Łańcut po latach stanu wojennego i przemian, podczas których miejsce to, jakby straciło na popularności. Zamek znów zaczął rozbrzmiewać muzyką kameralną, odbywały się przyjęcia dla kilkudziesięciu osób. Zjeżdżała na nie arystokracja polska, francuska, hiszpańska, dyplomatyczne osobistości z krajów latynoskich i rodzina Potockich ze wszystkich żyjących jeszcze linii. Myślę, że nawet

przed wojną nie było tak licznych zjazdów i o takiej wysokiej randze społecznej, tyle książąt, hrabiów. Zaczęło się od ślubu Rosy i Stanisława Potockich z Peru, którzy właśnie w Łańcucie zapragnęli związać się węzłem małżeńskim. Nawet kaplicę zamkową na tę okazję ksiądz proboszcz specjalnie wyświęcił. No i to, co stało się ważne dla historii Łańcuta, w 2001 roku Państwo Potoccy z pomocą wielu osób zorganizowali uroczysty, z wojskowymi honorami pogrzeb ostatnich właścicieli: Elżbiety z Radziwiłłów Romanowej Potockiej, ich dwóch synów Alfreda – ostatniego ordynata i Jerzego, adiutanta marszałka Józefa Piłsudskiego, później ambasadora Polski przedwojennej w Turcji i w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną Susaną Yterregui, Peruwianką. Te cztery osoby były pochowane we wspólnym grobowcu w Lozannie (Szwajcaria). Teraz znajdują się w mauzoleum rodowym pod prezbiterium kościoła farnego w Łańcucie.



Teresa Żurawska z synem Wrzesławem Żurawskim (który zaprojektował m.in. winietę magazynu „Culture Avenue”).

Żyjąc w takim miejscu jak Łańcut, bogatym w tradycje, a jednocześnie mając szeroki kontakt ze światem, (miała pani szereg wystąpień naukowych zarówno w Europie, jak i w Ameryce, jest pani autorką wielu poszukiwanych książek), czy rzeczywiście trzeba pokazywać Europie, nasze bogactwo kulturowe, gdyż wiele lat myślano o nas, że żyjemy daleko od centrum kultury, a takie miejsce, jak Łańcut położone jest pośród stepów, na kulturowej pustyni?

U naszych zachodnich sąsiadów dość powszechnie utrwalił się

wizerunek Polski, jako kraju pozbawionego kultury, nieciekawego, uważano, że „na wschód od Łaby nic nie ma”. I oto jakże daleko na wschód od Łaby istnieje taki zamek w Łańcucie i jeszcze dalej Krasiczyn, a w międzyczasie tyle prześlicznych zabytkowych kościołów, murowanych i drewnianych katolickich i prawosławnych. Nie mówiąc już o dworach i pałacach jeszcze dość licznych. Zdziwienie wtedy jest wielkie.

Czy gdyby jeszcze raz kończyła Pani studia, wybrałaby Pani Łańcut, jako swoje życiowe miejsce? Czy Łańcut jest dla Pani tym wymarzonym domem?

Łańcut dla mnie był wynikiem sytuacji życiowej, o której wspomniałam na początku, ale przyznać muszę, że to miejsce jest szczególne i szalenie inspirujące, niezwykle poszerzające wiedzę, bo trzeba znać się po trosze na wszystkim. Opanować trzeba historię Polski i Europy, w dużym zakresie genealogię, obyczaje i ogólnie kulturę, nie mówiąc już o historii sztuki, zwłaszcza czasów nowożytnych. Teraz już bym Łańcuta nie zdradziła, tyle tu mojego trudu, nieprzespanych nocy, przepracowanych dni i wieczorów, tyle emocji, eksploatowanej energii, tyle przyjaźni, spacerów i oddychania pięknem. Jeździłam w świat, ale świat też przyjeżdżał do Łańcuta i do mnie osobiście, zresztą przyjeżdża do dzisiaj. Wiele, nie wstydzę się tej megalomanii, eksponatów i książek przybyło tu za moim

pośrednictwem. Cała druga kolekcja pojazdów konnych, uratowanych od zagłady lub wywiezienia. Przez to wszystko Łańcut stał się moim Łańcutem. Czy wymarzonym? – Nie wiem, nie miałam takich konkretnych marzeń, ale stał się nim z pewnością.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

A jaki był Pani dom rodzinny, dwór w Czumowie, dom w Zamościu, ojciec, który wrócił pieszo z obozu oficerskiego we Francji do domu, do rodziny? Czy miłość do piękna, ideały, wartości, wszystko co jest w pani i czym pani emanuje, dając innym tak wiele, było w Pani domu?

W Zamościu był dom rodzinny, w którym urodziłam się i ja i mój syn. Do śmierci Taty w 1972 był moim azylem. Drewniany, niezbyt duży, z gankiem oszklonym i werandą od południa, położony wśród ogrodów, z dala od ulicy, przypominał z wyglądu i z obyczajów w nim panujących dwór polski.

Pielęgnowało się wszystkie tradycje świąteczne, katolickie i patriotyczne, chociaż po wojnie zakazane. Ciepło moich kochających rodziców (przeżyli 49 lat we wzorowej wprost harmonii), gościnność, atmosfera życzliwości, spokój ducha i równowagi psychicznej, były skarbami, które otrzymałam na całe życie, jako fundament mocny i niepodważalny. Jeszcze kilka lat po wojnie była z nami babunia, matka mojego ojca, jak zwykł był o niej mówić „Mateńka”. Kto dziś tak nazywa swoją matkę? A to takie piękne. Mówimy tak modląc się, upraszając o łaskę, ale do Matki Bożej. Myśmy to mieli w codziennych rozmowach przy stole, który jednoczył nas dwa razy dziennie – na obiad i na kolację, czasem był jeszcze czas na podwieczorek.

Jestem z czworga rodzeństwa, była więc z nas siedmioosobowa

rodzina. Ojciec przez 6 lat był w niewoli. Najpierw pojmany we wrześniu z 17/ 18 pod Równem wraz z całym taborem polskim. Zapakowali żołnierzy do bydlęcych wagonów i wozili po terenie południowej Rosji, aż po Ural, dając raz dziennie kubek kawy i kromkę spleśniałego chleba. Spali na mokrych liściach. Ta wędrówka bez celu trwała 7 tygodni. Przy wymianie jeńców (Sowieci z Niemcami), oddano Polaków do niewoli niemieckiej. Mój ojciec znalazł się wtedy w obozie międzynarodowym w miejscowości Oschatz w Saksonii. Ciężkie to były lata, wielu nie przeżyło, wielu zachorowało psychicznie. Mój ojciec, rezerwista, już nie młody (miał 40 lat, gdy wybuchła wojna), był bardzo schorowany, cierpiący na bóle stawowe. Jednak wytrzymał i postanowił wrócić do rodziny, bo tak pojmował swój obowiązek wobec społeczeństwa i państwa. Chodził w jednym ubraniu jakie miał, amerykańskim mundurze oficerskim. Na pewno nie ułatwiło mu to życia w pracy.



Pałac w Czumowie.

Czumów – dwór, a właściwie pałac z wysoką wieżą, jest do dzisiaj najjaśniejszym promyczkiem w moim dzieciństwie. Najlepiej pamiętam ostatnie długie wakacje 1939 r. Nasze zabawy ze starszym bratem i wyprawy, trochę tajemnicze, trochę zakazane np. na ową wieżę, gdzie gnieździły się sowy i kawki. Grzebanie w starych papierach, odkrywanie schowków, wyprawy po miód trzmieli i asystowanie przy lokomobili, a potem jazda na workach pełnych pszenicy do spichlerza. To była jeszcze większa frajda, niż zjeżdżanie ze sterty słomy. Radość nasza zakończyła się nawałnicą wojenną. Pamiętam panikę ludzi, gorączkowe rozmowy, przyjmowanie uciekinierów z poznańskiego i z

Warszawy. Wszędzie tłok. Wreszcie zapadła decyzja i babcia z mamą postanowiły uciekać za Bug, gdzie mieliśmy rodzinę ze strony ojca. Bryczka mało pojemna i furka z jednym woźnicą, który zechciał jechać z nami wyruszyły ostatnim promem przez Bug w kierunku Uściługa i Włodzimierza Wołyńskiego. Nigdy nie zapomnę widoku tłumów na drodze. Nie dało się jechać. Świetnie przedstawił tę scenę znakomity pan Antczak w filmie „Noce i dnie". On pochodzi z Włodzimierza, sądzę więc, że widział to, co działo się na tych ziemiach Wołynia we wrześniu 1939 roku. To tak wyglądało w rzeczywistości. We mnie te obrazy wędrówki, pola po bitwie, palącego się samolotu, świst i warkot maszyn w powietrzu walczących myśliwców, strzelanina i wybuchy pozostały i w oczach i w uszach.

Na długie lata przyćmiły je wydarzenia, które przyniosły lata powojenne. Myślę, że oglądanie od dziecka albumów z kolorowymi widokówkami Kossaków, Andriollego, reprodukcji malarstwa Młodej Polski, które Mama zbierała i pozwalała nam oglądać, zwłaszcza podczas choroby, również encyklopedia Guttenberga, z barwnymi tablicami, oczywiście czasopisma o słodkich obrazkach, może nawet ckliwych, miały ogromny wpływ na kształtowanie się zainteresowań i umiłowań. Trochę wzięłam z genami Babci, z domu Moszyńskiej, która miała rzadkie poczucie estetyki na każdym kroku, wszędzie w najmniejszym drobiazgu. No i ta babcina, słynna już elegancja, nienaganny żabot, zapinka złota lub kamea, staranne uczesanie jeszcze z

epoki *fin de siècle'u*, przytrzymane ogromnymi szpilami. To była prawdziwa i ostatnia dama w naszej rodzinie. Takie kobiety potrafiły prowadzić piękny dom.

Co chciałaby Pani najcenniejszego przekazać swoim wnukom?

Chciałabym, aby moje wnuki, a mam ich czworo, były szlachetne wewnątrz, umiały odróżnić dobro od zła i kierować się dobrem, uczciwością, prawością. Chciałabym, żeby były nie tylko piękne z urody, ale i też piękne z wnętrza. Umiały być czułymi, współczującymi, rozumiejącymi i kochającymi. To chyba najważniejsze, no i szanowały swoje korzenie, tak rodzinne, jak i historyczne.

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w*

Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „Yhe transport Museums", miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i

dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.

Teatrzyk zamkowy w Łańcucie za pierwszego ordynata Alfreda

Potockiego w latach 1816-1862.

Rody Polskie. Potoccy.



Teatr zamkowy w Łańcucie. Dokracja sceny zamknięta prospektem, fot. theatre-architecture.eu

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Badając dzieje rodziny Potockich w jej rodowej rezydencji w Łańcucie, „poznałam” niektórych jej przedstawicieli. W Łańcucie, w rodzinie Potockich, swoistym barometrem nastrojów, zainteresowań, tradycji czy patriotyzmu, była przepiękna, XVIII-to wieczna miniaturowa scenka, tzw. Teatrzyk Księżnej Marszałkowej, czyli Izabeli Lubomirskiej, która będąc niezwykle wykształconą i inteligentną, ceniła dobrą sztukę i wysoki kunszt artystyczny.

Po śmierci Księżnej Marszałkowej, poprzez małżeństwo pięknej Julii, córki Marszałkowej z Janem Potockim, podróżnikiem i pisarzem (autorem „Rękopisu znalezionego w Saragossie”), Łańcut przeszedł na własność rodziny Potockich. Początkowo odziedziczonym majątkiem zarządzali wspólnie Alfred i Artur, synowie Julii z Lubomirskich i Jana Potockiego. Ale w 1822 roku bracia podzielili się dobrami. Po podziale majątku Alfred Potocki (urodzony w 1786 r. w Paryżu) otrzymał dobra łańcuckie oraz dobra lwowskie z pałacem w stolicy Galicji i ziemie na Podolu. Był już wówczas ożeniony z piękną Józefiną Marią z Czartoryskich (ślub odbył się w 1814 roku). Młodzi Potoccy czuli wokół ducha wielkiej babki, jej gust i zamiłowania. W pałacu pamiętano jeszcze wizyty, zaprzyjaźnionej z Księżną Marszałkową, królowej francuskiej Marii Antoniny (po której do dziś został w zamku pięknie malowany bidecik) i innych znakomitych gości, tudzież ciągle odbywające się koncerty, przygotowywane przez nadwornego kompozytora, Włocha

Marcello Bernardiniego.



Alfred Potocki (1786-1862), pierwszy ordynat łańcucki, minatura Moritza Michaela Daffingera, zbiory Muzeum Albertina w Wiedniu.

Alfred i Jozefina Potoccy nie posiadali takiego zmysłu artystycznego, jak babka, Izabela Lubomirska. Owszem, lubili teatr i muzykę, lecz bardziej odpowiadał im łatwy, dostarczający rozrywki repertuar, niż ambitne dzieła wielkich twórców.

Uczestniczyli w spektaklach profesjonalnych teatrów, wysyłali też do teatru guwernantki, o czym świadczą zapisy w księgach kasowych: „za bilety do Burgtheatru", „zwrócono Jakóbowi za Teatr dla J.W. Pana", „za bilety na teatr razy 2", „na bilety do teatru dla P. Adeli i drugiej Guwernantki z dyspozycji J.W. Pani". Interesowali się bieżącym repertuarem teatralnym, regularnie płacąc za „noszenie Affiszów teatralnych".

W zgromadzonym w tym czasie księgozbiorze dramatycznym, przeważają komedie o prostej konstrukcji i zabawnej puencie oraz wodewile, zdobywające coraz więcej wielbicieli na scenach paryskich i wiedeńskich. Ta duża ilość tekstów komediowych i wodewilowych kupowana była z myślą o scenie teatralnej, tym bardziej, że w Bibliotece Zamkowej zachował się także księgozbiór nutowy popularnych arii i arietek, pochodzących z tego okresu.

Po Kongresie Wiedeńskim w Galicji panowała atmosfera radości i zabaw. Często urządzano przyjęcia, na których jedną z atrakcji były amatorskie przedstawienia teatralne, Odwiedzano też rodzinę i sąsiadów. Brat Alfreda odziedziczył dobra krakowskie, a Kraków i okolice po Kongresie weszły w skład Rzeczpospolitej Krakowskiej. Alfred i Józefina Potoccy odwiedzali także Henryka Lubomirskiego (wychowanego przez Księżnę Marszałkową) w Przeworsku i Księcia Generała Adama Kazimierza Czartoryskiego – brata Izabeli Lubomirskiej, w Sieniawie.

Czartoryscy przenieśli tu styl życia Puław, a więc i zamiłowania artystyczno – kulturalne.

Na dworze Czartoryskich przebywał wówczas jako guwerner i nadworny literat Adam Kłodziński (1795-1858), absolwent słynnej szkoły Pijarów w Podolińcu, właściciel dóbr Jastrząbki w Tarnowskiem, późniejszy dyrektor Biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie. Przygotowywał on okazjonalne sztuki, wystawiane przez amatorski zespół. W jego „Komedii bez tytułu" bohaterowie wspominają wizyty Potockich w Sieniawie:

> …jeszcze dziś w obecności wielu gości z Łańcuta, których tu czekamy z podwieczorkiem, mają się odbyć zaręczyny,

czy

> …bytność nasza koniecznie potrzebna, (…) to miejsce przystroie na przyjęcie gości łańcuckich.

Adam Kłodziński zamieszkał potem w Łańcucie, aby w duchu patriotycznym wychowywać dzieci Potockich. Wykorzystywano go także dla potrzeb łańcuckiego Teatrzyku. Wśród pozostawionych przez niego rękopiśmiennych sztuk, znajduje się

„fraszka w trzech aktach, napisana dla teatru łańcuckiego” pt. „Kochankowie w kłopotach”. Jak głosi notatka na pierwszej stronie, sztuka ta była grana 19 marca 1820 roku.

Jest to utwór o bardzo prostej konstrukcji i łatwej fabule. Opiekunowie młodych panien, chcą się z nimi żenić. Przeszkadzają im w tym, używając podstępu, dwaj kawalerowie. Sztuka oczywiście kończy się szczęśliwie.

Nikt z Potockich, ani z rodziny nie próbował w tej sztuce swoich teatralnych umiejętności. Występowali w niej aktualnie przebywający w zamku goście i służba. Sztukę reżyserował sam autor. O tym, że utwór napisany został jako scenariusz przedstawienia, świadczą obszerne didaskalia. Dowiadujemy się z nich, jakich użyto dekoracji, jak wyglądała scena. I tak w pierwszym akcie:

> Teatr wystawia miejsce między trzema domami. Z jednej strony dom Barona, z drugiej Majora – w głębi dom Kaprysińskiej. W środku drzewo z ławką i stolikiem – w lewą rękę ciągnie się ogród, wspólnie do tych trzech domów należący, w prawą – między domem Barona i Kaprysińskiej – brama żelazna – w tyle wiedzie mur, który całe terytorium otacza, z poza niego widać miasto.

Ponadto:

> Teatr wystawia pokój, w środku drzwi główne – z lewej drzwi boczne, po prawej stronie lampa, przed nią stolik, na którym pulpit z rysunkiem, papier i narzędzia do pisania – po lewej stronie fortepiano.

Jest to pierwsza znana sztuka, grana na łańcuckiej scenie po polsku i w polskich strojach. Adam Kłodziński wniósł do Łańcuta ducha polskiego.



Teatr zamkowy w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski, 1985 r., arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W Łańcucie zatrudniano także muzyków, którzy zajmowali się oprawą muzyczną przestawień i organizowaniem koncertów. Marcello Bernardini (nadworny kompozytor Marszałkowej Lubomirskiej, zmarł w 1819 roku), Piotr Haensel i Mathias Ulman figurują w wykazach pensji. Zapiski archiwalne podają też, że w 1822 roku wypłacono trzymiesięczną pensję sześciu muzykantom. Domowe koncerty musiały odbywać się wtedy dość często, gdyż w księgach kasowych regularnie pojawiają się wydatki na strojenie fortepianu. Dbano o salę teatralną, o czym świadczą rachunki za naprawy, np. „Stolarzowi od robót pokojowych i w Teatrze", „Za Bratnale do reperacji w Teatrze",

„Za postawienie Dachu nad Teatrem” itp.

Wspaniałym dokumentem życia w tamtym czasie w Galicji są pamiętniki Ksawerego Preka. Ze względu na kalectwo nie uczestniczył on czynnie w życiu towarzyskim. Był za to bystrym obserwatorem, a jego wspomnienia są istną skarbnicą wydarzeń i obyczajowych detali. Wspomina on różne imprezy artystyczne w Łańcucie, np. 1823 roku z okazji imienin Józefiny Potockiej, które trwały przez trzy dni (18, 19, 20 marca).

> Dawano tamże charade Muzykant przez Kłodzińskiego ułożoną. – W pierwszym oddziale ukazały się muzy. Każda z nich odznaczając właściwy swój charakter, starała się użyć swojego talentu na uczczenie solenizantki. Ostatnia sylaba, domyśla się każdy, przedstawiała w zamyśleniu głębokim znanego filozofa z rozwartą księgą. Całość szarady była równie wesoła, jak i ładna. Muzykant na skrzypeczkach grając od ucha wprowadził w skokach całą drużynę Krakowiaków, którzy jeszcze przyśpiewywali piosenki stosowne dla swej pani (19 marca).
>
> Dawano tam także komedię polską, nowo napisana przez Kłodzińskiego (20 marca).

Imieniny pani Potockiej uczczono nie tylko sztukami polskimi.

Wystawiono tu także operę Karola Marii Webera „Wolny strzelec”.

> …pan Artur dawał koncert dla niej sprowadziwszy amatorów z pobliskich miasteczek w liczbie dwudziestu kilku, którzy bardzo ładnie grali operę Freyeschute i inne. – pisze dalej Ksawery Prek. – Potem popisywał się na fortepianie Kessler. Choć nie mogę sądzić o muzyce, ale przejęty byłem mimowolnie, nieznanym ukontentowaniem, które na twarzach drugich widziałem.

Adam Kłodziński ze szczególną troską zajął się starszym synem Potockich – Arturem. Starał się wychować swojego ucznia w duchu patriotycznym, kształcił w nim zamiłowanie do polskiej literatury i historii.

> Plan jego wychowania – pisze Mieczysław Gębarowicz (M. Gębarowicz, „Wizerunki znakomitych ludzi w Polsce”) – obejmował obok obowiązkowych lekcji, zwiedzanie zabytków przeszłości, aby w ich obliczu wywołać przed oczyma ucznia świetne obrazy przeszłości.

W tym duchu Kłodziński pisał też okolicznościowe utwory

sceniczne dla łańcuckiego teatru. Ksawery Prek zanotował, że 11 lipca 1829 roku

> grano komedię polską pod tytułem (…) (napisaną) przez Kłodzińskiego. Pani z Lubomirskich Mniszchowa przedstawiała nam poważną obywatelkę średniego wieku. Autor przypomniał owe czasy, gdzie za strojem polskim nosił każdy miłość Ojczyzny.

Kłodziński bawił się w układanie wierszowanej historii Polski. Jako przykład może posłużyć fragment operetki „Przyjazd pożądany" napisanej dla teatru w Sieniawie.

> **Rotmistrz**
>
> Właśnie mi się wąs zasiewał
>
> Gdy król Jan w swych rot szeregi
>
> Chciwą sławy młodzież wzywał
>
> Nad Dunaju spiesząc brzegi.
>
> Ja okrywszy skroń szyszakiem

> I przywdziawszy Oyców zbroje
>
> Tocząc dzielnym swym rumakiem
>
> Takżem ruszył na te boje.
>
> Padł poganin zwyciężony
>
> Polak – okrył się zwycięstwem
>
> Wiedeń wyznał zadziwiony
>
> Że ocalał naszym męstwem.
>
> Niwy Rusi i Podola
>
> Lądy Zbruża, Dniestru skały
>
> Lwów, Jazłowiec, Żwańcu pola
>
> Świadkiem naszych dzieł i chwały.

Bujne życie towarzyskie Łańcuta, urozmaicone przedstawieniami teatralnymi i imprezami muzycznymi, prawie zupełnie zanikło po 1830 roku, w związku z żałobą narodową i represjami po upadku

powstania listopadowego. Nastąpił też gwałtowny spadek zakupów dla Biblioteki Zamkowej, a w Inwentarzach nie widnieją wydatki związane z utrzymywaniem muzyków, czy organizacją przedstawień.



Zamek w Łańcucie, fot. lancut.pl



Zamek w Łańcucie, fot. lancut.pl

Staraniem Alfreda Potockiego w 1830 roku powstała ordynacja łańcucka, z zasadą niepodzielności, niezbywalności i nieobciążalności dóbr. Ich dziedzicem mógł być wyłącznie najstarszy syn ordynata. W przypadku wygaśnięcia rodu połowa majątku miała być przeznaczona na wsparcie uczącej się młodzieży, a druga dla wojskowych w stanie spoczynku. Alfred Potocki – pierwszy ordynat Łańcuta, zajął się odtąd głównie gospodarowaniem w ogromnym majątku. Stał się jednym z pionierów nowoczesnego rolnictwa galicyjskiego. Sprowadzał maszyny rolnicze, niektóre sam projektował. W Łańcucie miał gorzelnie, młyny, browar, rafinerię spirytusu, garbarnie itd.

W 1834 roku w rodzinie Potockich wydarzyła się tragedia. Zmarł najstarszy syn, Artur, przeznaczony do odziedziczenia ordynacji. Odszedł też jego nauczyciel, Adam Kłodziński. Od tej pory w księgach kasowych z rzadka pojawiają się wpisy świadczące o zapraszaniu zawodowych muzyków.

Alfred Potocki pełnił wiele funkcji państwowych nadanych przez Wiedeń w tytularnym królestwie Galicji i Lodomerii. Wiązało się to też z różnymi okolicznościowymi imprezami w Łańcucie. Ksawery Prek wspomina, że w sierpniu 1839 roku uroczyście obchodzono poświęcenie chorągwi pułku kirasjerów pod nazwą księcia Franciszka Modeny.

> Alfred hr Potocki wszelkie zrobił przygotowania na przyjęcie tych wysokich gości, jako to księcia panującego Modeny, syna jego Ferdynanda i arcyksięcia Ferdynanda, gubernatora Galicji.

Uroczystość ta odbyła się z ogromnym przepychem. Ordynat starał się pokazać w jak najlepszym świetle. W pałacu dano wielki obiad, na który zaproszono cały korpus oficerów. Po obiedzie urządzono wyścigi konne. Potem zaproszono gości do folwarku Wola Bliższa niedaleko Łańcuta.

> Dawano (tam) w altanie herbatę, gdzie w narodowym ubiorze dwa wiejskie wesela się odbywały.

Możliwe, że około 1840 roku wystawiono w łańcuckim teatrze sztukę Aleksandra Dumasa „Henryk III" i to prawdopodobnie w polskim przekładzie znanego wówczas dramaturga J.T.S. Jasińskiego. W bibliotece zamkowej zachował się bowiem egzemplarz francuskiego utworu, przygotowywany do amatorskiej realizacji scenicznej, o czym świadczą liczne marginalia. Dokonano też skrótów i przeróbek. „Katarzyna z Kliwii" to zmieniony tytuł utworu (z polską pisownią). Prawdopodobnie chciano uwypuklić tę postać i uczynić z niej główną bohaterkę. Dwudziestojednoosobowa obsadę zmniejszono do jedenastoosobowej. W tekście pojawiają się dodatkowo wskazówki reżyserskie np. „dama zawoalowana wchodzi" (tak zaczyna się sztuka). Akt I zmniejszono o scenę VI i VII. Notatka na marginesie – wyrzucony cały akt II. Znalazła się też notka – „wiersz chyba opuszczony". W wyniku tych zabiegów z utworu pięcioaktowego, zrobiono trzyaktowy. Do tego są liczne podkreślenia. Dramat został więc wyraźnie zamieniony na scenariusz teatralny.



Teatr zamkowy w Łańcucie, fragment dekoracji teatralnej, fot. arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Po 1840 roku nastąpił zupełny zanik życia kulturalnego. Rzadko zapraszano gości, sala teatralna była prawie nieużywana.

Inwentarz Zamku Łańcuckiego, spisany w 1862 roku (wykorzystujący dane z Inwentarzy z 1854 i 1855 roku) podaje:

> Wróciwszy do sali paradnej, wchodzi się z tejże przez drzwi kryte, zwierciadłem wyłożone do Teatru – to jest Sali dawniej

> na teatr przeznaczonej, w której wszelkie urządzenia sceniczne, jakoteż na pomieszczenie widzów znajdują się.

Przy opisie garderoby teatralnej zaznaczono:

> Ponieważ jest takowa przez starość sterana, więc nie opisuje się jej sztukami pojedynczo, lecz ryczałtem (…). Oprócz są jeszcze różne suknie płócienne różnego koloru i inne przybory, lecz już w tak złym stanie i zniszczone, iż szczegółowej wzmianki o nich czynić, nie uznano potrzeby.

Źródła:

- Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, teka Potockich z Łańcuta.
- Materiały archiwalne, Biblioteka Zamkowa w Łańcucie.
- Teka księdza Franciszka Siarczyńskiego, Ossolineum, Wrocław.
- Literatura pamiętnikarska z epoki.
- Joanna Sokołowska, Teatr i życie teatralne na zamku w Łańcucie XVI-XX w., praca magisterska pod kierunkiem prof. Jerzego Starnawskiego, Uniwersytet Łódzki, maszynopis.